Nr. 33. We Lwowie dnia 13. sierpnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z cyklu »Polonia irredenta«.

PODZIEMIA.

III.

Upiory kopalni.

Znów piętra rusztowań dym zakrył na chwilę,
Stąpamy pod skrzydłem tumanu.
Nad nami, śród dymów, śród pary, w mgły pyle
Unoszą się iskier czerwone motyle,
Grzmi łoskot, jak z głębi wulkanu.

Wiatr, dymy roznosząc po gmachach, po ścianach,
Śród szumu obiega kopalnię.
Wtem głuchy jęk zabrzmiał w szarawych tumanach,
Tam stoi dziad-żebrak w przemokłych łachmanach
I woła przez wichry błagalnie:

»Litości! Choć grosik! Wiatr wieje, mgła pada,
Litości! Tu żebrać wzbronili!
Dziad wiernie pracował, poświadczy gromada...
Litości! Choć grosik, choć grosik dla dziada,
Tam w kotle go żywcem warzyli!

Tak! żywcem! To ciało żar zwarzył kotliska
I członki poskrzywiał dziadowi....
Litości! Litości! Wszak wiedzą ludziska,
Jak węgiel dziad kopał, jak wyszedł z kotliska,
Choć grosik! Modlitwę dziad zmówi!

Nieboszczyk-syn modlić się ojcu pomoże,
Łeb strzaskał pod twardą opoką...
Litości! O ludzie! Wiatr smaga na dworze,
Przechodnie szeptają: Niech Pan Bóg wspomoże!
A Pan Bóg wysoko, wysoko!

Litości! Ratunku! Ach, życie zakrzepło!
Dziad węgiel dobywał pół wieka,
By było na świecie i jasno i ciepło;
A teraz po grosik wyciąga dłoń skrzepłą! —
»Litości!«... — wył upiór człowieka.

IV.

Potwór.

Tam hala nad szybem, jak klatka u góry,
A w klatce śpi potwór stinksowy.
Za ścianą grzmi węgiel, wrą głosy, drżą mury,
Przed stinksem uśpionym cień staje ponury
I w rękę pręt bierze stalowy.

Potworny kot cicho tam leży na bloku,
Kark liną szybową owity.
Śpi teraz bezduszny, skłębiony w pomroku,
Za chwilę się zbudzi, gotowy do skoku,
I w paszczy zatrzeszczą kłów zgrzyty.

Cień drasnął go prętem... Kot wstaje, kark kłębi,
Przebiera tłokami, szaleje,
Rozwija się lina, mknie szala do głębi.
Kot parą zaryczał... Ha, ryk ten krew ziębi!
Kot cichnie, już słabnie, już mdleje.

I znowu to cielsko bezduszne śród hali
Potwornie się kłębi na bloku.
Za ścianą grzmią wózki. Ha, idźmy tam dalej,
Skąd czarne djamenty kot dźwignął na szali,
Gdzie państwo bogactwa i mroku! —

Ta otchłań... Czy brama do piekieł czeluści?
Zgrzytnęły żelazne zapory,
Nim oko swój promień do głębi zapuści,
Już lecim, już lecim w głąb czarnych czeluści,
W głąb niosą maszyny-potwory!

Kaganiec, jak gwiazda, u białej drży skroni,
Jak głucho, jak czarno, jak wrogo!
W głąb lecim i lecim, a głębię mrok słoni...
Czy brakło na ziemi dla ludzi już błoni,
Czy tam się pomieścić nie mogą?

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca,
A w koło brzmi cicho głos rzewny:
»Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
Czy wrócisz?«... Któż pyta!... My lecim bez końca,
Jak Ludzkość... na szali niepewnej!

Przypiski.

III. Upiory kopalni

W r. 1893 w kopalniach (21) Królestwa Polskiego pracowało 13.421 robotników i było 38 wypadków nieszczęśliwych, które zakończyły się śmiercią. Liczby kalek i rannych niepodobna dokładnie określić z powodu wadliwej statystyki. Na niektóre kopalnie przypada rocznie po 12 wypadków śmierci. We Francji w r. 1892 pracowało w kopalniach węgla 133.193 robotników; liczba zabitych 127, rannych 826. W Pensylwanji w r. 1891 na 187,250 robotników było zabitych 653, rannnych 1330, pozostało wdów 317, sierót 816.

Tam w kotle go żywcem warzyli...

Autentyczne.

Nieborak-syn ojcu się modlić pomoże,
Łeb strzaskał pod twardą opoką...

Każdy marynarz wie i wierzy w to, że zginie w morzu, jak ojciec, jak dziad. Losy górników są pod tym względem bardzo zbliżone do losów marynarzy.

IV. Potwór.

Opis maszyny wydobywalnej.

Ta otchłań, czy brama do piekieł czeluści...

Głębokość szybów w Król. Pol. wynosi 153—300 m.

Czy orakło na ziemi dla ludzi już błoni,
Czy tam się pomieścić nie mogą?...

Według Liebiga wydajność ziemi dałaby się znakomicie zwiększyć przy lepszej uprawie. W Brazylji na 152. tysiącach mil kwadratowych mieści się zaledwie 14 miljonów mieszkańców, podczas gdy Europa ma na 178 tys. mil kw. 330 miljonów. W Rosji na 1 milę kwadr. przypada 800 mieszkańców, w Saksonji 11.000. Ogólna cyfra ludności w Rosji wynosi 90 miljonów. Gdyby ją zaludnić tak, jak Niemcy, pomieściłaby 475 miljonów, gdyby zaś tak jak Saksonję, pomieściłaby 1000 miljonów, podczas gdy dziś na całej ziemi żyje zaledwie 1430 miljonów. (Bebel. Die Frau. str. 360).

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Tak stały rzeczy, kiedy Wielopolski wykonał swój projekt branki proskrypcyjnej, dla tego, jak powiadał ów najupartszy, najzarozumialszy i najbardziej ograniczony z samozwańczych mężów stanu, »aby wrzód pękł«. Rozpacz, zamięszanie, chaos, które stąd powstały, opisane są dość dokładnie w zesz. I. str. 81. (Memorjał Milowicza), str. 181—185 (pamiętniki p. B.). Ale czego tam niema, to szeregu intryg, które się natychmiast z tego dawno przewidzianego, a niby niespodzianego wypadku wyłoniły, i o których nie wiedział prawie nikt z tych, którzy podług dawno ułożonego planu rzucili się do boju w kilkudziesięciu punktach Królestwa, gotowi pełnić święcie swój obowiązek, chociaż prześwietna dyplomacja pozbawiła ich broni, stałego kierunku, a wkrótce potem i dowódzców.

Mówię, że branka była dawno przewidziana, bo już w październiku 1862 r. Wielopolski ją obiecał, jakby umyślnie dając nam czas do uzbrojenia się. Wówczas już komitet Mierosławskiego, chociaż ani kadrów ani broni nie przygotował, a poprzestał na swoim sławnym dyktatorze, który miał starczyć za krocie bojowników, korzystał z tej zapowiedzi dla własnych celów, ogłaszając, że członków organizacji nie da wziąć do wojska. Trudno sobie wyobrazić, jaki z tak dziecinnej przechwałki powstał zamęt w umysłach, bo myśmy nie zaprotestowali, aby nie wyjawić, jakie niesnaski istniały w łonie samego czerwonego stronnictwa, i cały naród przypisywał Komitetowi Centralnemu to, co było dziełem pp. Kurzyny, Janowskiego, Daniłowskiego i innych. Nie wiedziano nawet wogóle, że istniały dwa rządy, bo komitet Mierosławskiego prawie nic nie robił i wszystkie jego, nieliczne zresztą działania, przyjmowaliśmy na swój karb. Kiedy więc branka została ostatecznie naznaczoną najprzód na 8. potem na 14. stycznia, organizacja, osobliwie warszawska, zażądała, aby Komitet Centralny dotrzymał obietnicy, której nigdy nie dał, i wskutek zjazdu komisarzy wojewódzkich u Strojnowskiego, pod Skierniewicami, powstanie zostało nieodwołalnie naznaczone na czas branki, chociaż przygotowania zgoła nie były ukończone. Jaki w tem naznaczeniu brali udział poszczególni członkowie Komitetu, tego nie wiem, ale to wiem teraz, że skoro wszyscy się rozjechali z Padlewskim dla przygotowania powstania na 22. stycznia, Mierosławszczycy, dając przykład, który miał być wkrótce naśladowany przez krakowskich białych w sprawie Langiewicza, sfałszowali w imię Komitetu Centralnego nominację Mierosławskiego na dyktatora i zaczęli szereg owych zamachów, na które autor »Traugutta« tak zawzięcie napada, a z których ostatnim był właśnie zamach jego bohatera na rząd wrześniowy.

Że nominacja była sfałszowaną, przyznał się sam Mierosławski ze zwykłą sobie za-

rozumiałością, bo w ogłoszonych przez niego dokumentach (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej. Str. 1.) wydrukowano, że dekret jest stwierdzony pieczęcią z Orłem, Pogonią i Archaniołem, a więc wcale nie pieczęcią komitetową, na której był tylko Orzeł z Pogonią. Dla tego też ów galimatjasz u historyków powstania, którzy zaliczają do członków ówczesnego Komitetu z jednej strony Padlewskiego, Majkowskiego, Gillera, to jest naszych, z drugiej Janowskiego, Daniłowskiego, Jeskę, to jest Mierosławszczyków. (Berg. T. II. 395). Czy było zlanie się Komitetów? Czy Komitet Centralny znikł razem z Gillerem, który, jak sam opowiada, podał się do dymisji? To mogliby objaśnić ci, którzy w tych manipulacjach brali udział, a którzy dotychczas milczą, jak zaklęci; ale podług dokumentów samego Mierosławskiego, żadne zlanie się nie nastąpiło, a było po prostu śmiałe samozwańswo, jak później dla Langiewicza. Dla tego też pamiętniki Eustachego Petyona oskarżają tak naiwnie (str. 8) o niedołęstwo i zdradę Daniłowskiego, mniemanego organizatora województwa Mazowieckiego (prawdziwym był Stanisław Frankowski), który nic nie zorganizował, i Józefa Janowskiego, który miał działać dla »dyktatora«, a który wówczas podobno wstąpił do prawdziwego komitetu, więc o dyktatorze już wiedzieć nie chciał.

Bądź co bądź nikt przeciw takiemu samozwańswu nie zaprotestował, jak później nie protestowano z początku przeciw Langiewiczowi, a za wszystko zapłacili tylko nieszczęśliwi obrońcy narodu, których ten zamęt przeciwnych rozkazów musiał koniecznie dezorganizować. Mierosławski skończył swoją krótką dyktatorską karjerę pod Krzywosądzem 20 lutego, i zrejterował się za granicę, narzekając w niebogłosy na zdradę tych, którzy mu wcale posłuszeństwa nie obiecywali i sami byli niemniej od niego zdziwieni, a nikt się nie domyślał, że cała gmatwanina jest tylko dziełem kilku intrygantów, między którymi, rozumie się, prym trzymał, jak przedtem i później, szanowny p. Oskar Awejde, »wieczny członek« wszystkich rządów, jakiejkolwiek barwy. Ów pierwszy zamach (o którym — rzecz dziwna — autor »Traugutta« nic nie pisze), zachęcił białych, którzy się do ruchu przyłączyli, a dla których Mierosławski był wcieleniem samego Mefistofelesa, do tak powszechnie znanego przeciwzamachu, do sfałszowania dyktatury Marjana Langiewicza.

Dla zrozumienia tego, co potem nastąpiło, należy sobie dobrze uprzytomnić skład ówczesnej organizacji. Prawdziwi spiskowi rzucili się do boju, nie wiedząc, że ci, którzy ich dotąd prowadzili, zostali już w części zastąpieni, a wkrótce mieli być zupełnie wyrugowani przez zupełnie innych działaczy. Dawni albo zostali aresztowani (jak ja, Witold i Bronisław Marczewscy, Kaczkowski i inni) albo pośpieszyli na pole bitwy, jak Padlewski, Godlewski, Frankowscy. Zostali się ci, którzy mieli wyłącznie osobiste wywyższenie na celu i nowozaciężni, dawni przeciwnicy powstania, Jurgenszczycy, Majewszczycy, wogóle biali wszystkich odcieni. Ci ostatni mogą być także podzieleni na dwie kategorje. Jedni byli ludzie stałych przekonań (Żulińscy, Krajewscy, Gzowski, Ruprecht), którzy nie chcieli stać na uboczu wówczas, kiedy cały naród powstał. Drudzy byli tacy sami oportuniści, jak Awejde, i zostali olśnieni wybuchem ogólnej sympatji na całym świecie dla sprawy polskiej, któremu to wybuchowi nawet rządy w części potakiwać musiały. Nie śmiem twierdzić, że byli tacy, którzy, jak w 1831 r., przyłączyli się do ruchu umyślnie dla hamowania, to jest dla zabicia powstania rękami samych powstańców, dla zbudowania swoich prywatnych zamków na trupach obrońców Ojczyzny. Taka zbrodnia byłaby zbyt ohydną, a jednak okoliczności przemawiają za prawdopodobieństwem takiego oskarżenia. Niech ich tam Bóg sądzi, ja ich oskarżać nie będę, nawet kiedy taki p. B. jawnie się do tego przyznaje (Zesz. I. str. 173).

Nawet bez takiego oskarżenia dość ciężkie są zarzuty, które wszystkim tym ludziom zrobić wypada. Jeźli byli przekonani, że powstanie jest zgubne dla kraju, jeźli sumiennie starali się niedopuścić do niego, to ich psim obowiązkiem było wytrwać na takiej drodze i działać przeciw ruchowi, któremu zapobiedz nie zdołali. Ci więc, którzy stanęli jawnie przy Wielopolskim, spełnili ten obowiązek, o ile byli szczerymi, a nie działali dla osobistych widoków. Ale ci, którzy do prowadzili swoim oporem do powstania bez pieniędzy, bez broni, bez należytego przygotowania, a potem rzucili się w wir walki, dając jej swoją pomocą niejakie widoki powodzenia, ciężko odpowiedzą przed historją i przed narodem, i każda kropla krwi przelanej będzie ich dławiła aż na wieki wieków, jak dławi Chłopickich, Skrzyneckich, Krukowieckich i Czartoryskich, bo bez nich daleko mniej byłoby klęsk i trupów. Tym tylko historyk po części przebaczyć może, którzy dodali krew własną do potoków posoki, przelanej z ich winy.

Wytłómaczyć ich jednak można tem, że niedorzeczność planu Wielopolskiego była tak wielka, że klęski, które z niego mogły dla kraju wypłynąć, były tak oczywiste, a forma takiego pomagania zaborcom była tak wstrętną, że żadne, nawet najniedorzeczniejsze powstanie dorównać tym fatalnym skutkom nie mogło; każdy więc myślący człowiek rzucał się instynktowo do boju, nie rozumując, nie wiedząc nawet, że własną przegraną zapobiega daleko większym klęskom, że nie dopuszcza zupełnego upadku Ojczyzny. Bo cóż by się stało, gdyby się plan Wielopolskiego udał, gdyby Aleksander II. był o tyle mądrym, że dałby jeszcze większe reformy, nawet zupełną konstytucję, kongresową autonomję i wojsko polskie, jak po 1815. roku?

Mielibyśmy znowu królestwo konstytucyjne o 5 miljonach mieszkańców obok carstwa, liczącego 80 miljonów poddanych, i własnemi rękami pracowalibyśmy dla wzmocnienia Rosji, któraby się już troszczyć nie potrzebowała o swoje zachodnie granice, bo sami Polacy by je strzegli dla niej. Gdyby się naród stał — jak chciał Wielopolski — wiernym carskim sługą, nastąpiłoby powolne zamieranie polskości przy pomocy polskich szkół, polskich urzędników, polskiego kościoła i polskiego wojska, któremu to zamieraniu wtórowałoby niemczenie zaboru pruskiego i austryackiego, a w najlepszym razie wstąpienie ich mieszkańców na taką samą l o j a l n ą drogę, albo dążenie ich do zlania się z Moskalami. Jedyną nadzieją byłby znów szereg spisków i powstań, coraz n i e d o r z e c z n i e j s z y c h, coraz trudniejszych, bo połączonych z wojną domową, z bratobójczą rzezią, przypominającą dni lutego 1846 r. Takie byłyby nieomylne wyniki zwycięstwa owego wielkiego męża stanu, którego tak chwali tom IV. patrjotycznego Wydawnictwa!

Powstanie zaś, chociaż zwyciężone, przymusiło cara do pozornych reform w samem carstwie, rozpoczęło szereg rewolucyjnych rosyjskich ruchów, pchnęło Gotorpów na niby ludowe i słowiańskie drogi, dla przeciwdziałania którym powstała autonomja tych części Polski, które się dotąd powoli wynaradawiały pod potężnym wpływem niemczyzny. Powstanie osłabiło na długo Moskali, oswobodziło od ich wpływu Niemców, którzy skorzystali z usunięcia tej opieki dla zjednoczenia się i dla odosobnienia monarchji austro-węgierskiej, pozwalającej nam z musu autonomicznie się rozwijać pod Karpatami. Powstanie zniosło ostatnie ślady moskiewsko-polskiego królestwa, i te moskiewskie siły, któreby swobodnie działały dla zawojowania całego świata, są przykute nad Wisłą do tego żyjącego trupa, który się Polską nazywa, a co chwila zmartwychwstać może. Powstanie powołało do życia ekonomicznego i politycznego miljony polskiego ludu, któremu sam car musiał dać własny zagon pod stopy i karabin do ręki. Powstanie zrobiło to, że już nas nie dusi polski renegat przy pomocy polaka-szpiega i polaka-żołdaka, że wrogiem jest wyłącznie Moskal, że wszyscy którzyby przyłożyli być może rękę do uśmiercenia Matki, muszą, chcąc nie chcąc, pracować, chociażby biernym oporem, dla jej odrodzenia. Zgrzeszyli ciężko bohaterowie autora »Traugutta«, bo powiększyli klęski nasze, ale przyczynili się, choć niechętnie, do walki, chociażby przegranej, do wszystkich jej błogich skutków — i niech im to Naród na wieki pamięta.

Bronisław Szwarce.

Obrazki warszawskie.

»Servi siam, si, ma servi ognor frementi!«
Alfieri.

Na saskim placu.

Noc pogodna, ciepła, dziwna noc w miesiącu lutym, noc o szafirowym kolorze nieba i o złotym sierpie miesiąca, jak w maju, zawisła nad gwarnem, ruchliwem miastem, które w ciemnościach nawet do późna uspokoić się nie może, sen odpycha od siebie, wre i kipi życiem, jak gdyby nie gniotła go ciężka, brutalna ręka ciemięzcy.

W taki to wieczór z saskiego ogrodu wychodził zwolna młody człowiek, wysoki, szczupły, dosyć ubogo ubrany. Podniósł oczy do góry i uderzył go ten szmat błękitu, ta jasność miesięczna i ta przedwczesna woń wiosny, rozlana w powietrzu. Oparł się plecami o jeden z filarów pałacu Skwarcowa i patrzył przed siebie. Plac cały otoczono parkanem. Miejsce, na którem niegdyś ks. Konstanty odprawiał musztry swoje, dziś ze wszystkich stron zakryto oczom mieszkańców Warszawy. Czy to względność ojcowska opiekuńczego rządu? Czy sądzą, że widok tego placu budzi w nas wspomnienia, drażni wyobraźnię? Eh, gdzie tam! Takie wspomnienia każdy kamień warszawskiego bruku wywołać umie. Każdy splamiony krwią męczenników. Tam, za tym parkanem układają stosy kamieni, zwożą fury piasku, przygotowują materjały pod budowę wielkiego, prawosławnego soboru. Młodemu człowiekowi nie mógł być tajnym cel tych przygotowań. Wszak oddawna głuche pogłoski krążyły o nim po Warszawie. Ale być może, że po raz pierwszy dopiero ujrzał te deski, barykadujące drogę do Krakowskiego Przedmieścia, bo raz skierowawszy wzrok na parkan, już go potem oderwać nie mógł, a po głowie tymczasem snuły mu się jakieś mary.

Co go tak rozmarzyć mogło? Twarz tego człowieka poważna, energiczna; siła woli i zaciętość malują się na niej. Melancholji, skłonności do marzeń, do kontemplacji ni śladu w tych męzkich rysach. A przecież dzisiaj zaduma osiadła na nich.

Dziwny był cały dzień dzisiejszy. Słonko grzało, jak w kwietniu, a po Warszawie z ulicy na ulicę przechadzał się wietrzyk wonny, figlarny. Ależ bo te wietrzyki wiosenne! Bez pasportu i bez cenzury przylatują Bóg wie z jakich stron. Bóg wie, nad jakiemi wiały mogiłami... Bóg wie, jakie szepty niosą ze sobą... I chodzi za tobą taki wiaterek i pieści ci twarz i oczy, a taką dziwną przemawia mową, takich piosnek nasuwa ci echa... strach powiedzieć! Ten wiatr po prostu buntem wieje!

On to, on upoił duszę młodzieńca i nawiał mu do głowy fantastycznych obrazów roje. Ot i teraz, z przed oczu podział mu się gdzieś parkan drewniany i stosy cegieł i piasku nasypy, wszystko, wszystko. Plac wolny już. Środkiem jego olbrzymi budynek, potwór o kilkunastu złoconych głowach, z kadłubem, wszystkimi kolorami tęczy pomalowanym, Bóg-zwierzę rozsiadł się przy ziemi. Słońce świeci strasznym, jaskrawym blaskiem i we wszystkich kopułach cerkiewnych się przegląda. Popów tłumy z długimi włosami, ze zbrodnią na czołach snują się po placu. Kolosy moskiewskie zwożą dygnitarzy. Dygnitarze śpieszą bić pokłony. Masy żołnierstwa rozstawione w długie, równe szeregi, każda twarz czerwona, jak z cegły, każda bezmyślna, jak nie u człowieka. Tam dalej gromadka w białe świty przybranych z odkrytemi głowami dąży do soboru. Popi we fjoletach jak kruki otoczyli ją dokoła i wiodą. To nowo nawróceni... A nad tem wszystkiem woń wiosny i ciepły podmuch wietrzyka.

Wtem zahuczał dzwon i zcichły wietrzyki wiosenne i nad starym Zygmuntowym grodem szedł w powietrzu dźwięk ten jeden potężny i na kraj daleki niósł sławę imienia carskiego i prawosławnej wiary.

Huczy, huczy dzwon soboru i urąga i grozi zwycięzca: — Polsko, koniec tobie! — śpiewa pieśń spiżowa.

Ha, zaprawdę tej niewolnicy, co żyć nie umiała, koniec zbliża się podobno....

W tem trzask, jakby sto piorunów upadło. Ziemia drży, złote banie się walą... Czy piekło runęło na ziemię?! W tej chwili ucichł prawosławny dzwon.

— A, Władek, jak się masz?

Młody człowiek nieprzytomnym wzrokiem spojrzał przed siebie.

— Co ci jest u licha? Spałeś?

Przed młodzieńcem stał chłopak szesnastoletni, jasnowłosy, wpółdziecko, śmiejące oczy wlepił w twarz przyjaciela. Zagadnięty milczał, tylko ciemne, głębokie, pełne myśli źrenice utkwił w oczach młodzieniaszka i powoli cienie z jego czoła przechodzić zaczęły na wesołe, pogodne oblicze dzieciaka. I on zwrócił oczy na parkan, popatrzył i zmarszczka zarysowała mu się między brwiami. W jednej chwili jakby o lat dziesięć postarzał. Milcząc, ścisnął rękę Władysława, spojrzeli sobie raz jeszcze w oczy, — zrozumieli się bez słów.

Wanda.

W sprawie nauki o kraju rodzinnym.

(Ciąg dalszy.)

Dziś niema sporów, czy oświata jest ludowi potrzebną — wszyscy jej dla niego pragną, a wielu dla niej pracuje. W ten sposób ziszczamy w miarę sił i możności jedną z wielkich idei — ideę demokratyzacji, uludowienia oświaty. Coraz nowe drogi wynajduje sobie ten prąd w życiu: wyrasta i wzmaga się tam, gdzie go czujność szpiegów carskich nawet nie posądza o obecność, a przedarłszy się do ludu, wraca spotężniały w postaci pragnienia oświaty, garnięcia się do niej ludu samego!

O zjawisku tem można już dziś powiedzieć, że stało się ono masowem, wszechstronnem, społecznem, że wprost nie zależy już nawet od usiłowań pojedyńczych kół lub działaczy, i samo ze siebie wytwarza się: prąd to, którego już żadne tamy nie zawrócą z drogi — jest on bowiem po prostu wyrazem poziomu kulturalnego, na jakim stoi dziś lud polski miejski i wiejski.

Jeżeli teraz przypominamy, że nie inną jest tendencja w całej Europie, zakładającej uniwersytety ludowe, wprowadzającej bezpłatne i obowiązkowe nauczanie, produkującej olbrzymią, a tanią literaturę popularną — to zrozumiemy, że stoimy tu na dobrej drodze wraz z całym cywilizowanym Zachodem. W ten sposób główna zasada szkolnego systemu rządowego spotyka się dziś z siłą przeciwdziałającą jej niemal samorzutnie. Rolą zaś inteligencji jest opieka nad tym prądem, pomoc moralna i materjalna udzielana ludowi w sprawie oświaty pod wszelkiemi możliwemi postaciami. Jestto obowiązek z jednej strony zbyt zależny od poszczególnych warunków miejsca i czasu, ażebyśmy o nim potrzebowali i mogli rozwodzić się teoretycznie.

Jedną tylko mogę ogólną zrobić w tym przedmiocie uwagę: oswiata ludowa nie powinna się w ogóle ograniczać na rozszerzaniu popularnych wydawnictw, przeznaczonych dla najniższych kategorji ludu. Oświata powinna przedewszystkiem uwzględnić potrzeby warstw półinteligentnych, stykających się bezpośrednio z inteligencją właściwą. Tu dzielić się musimy ciągle naszą wiedzą i książkami, pamiętając o tem, że owa pół-inteligencja styka się z drugiej strony z kategorjami niższemi i jest niejako naturalnem narzędziem wpływu, którego żadna siła obca zatamować nie może. Ten proces społecznego oddziaływania na siebie kategorji bezpośrednio obcujących ze sobą, jest ważniejszym, niż np. rozmowy studenta z wieśniakiem, lub pisanie książeczek dla zaledwie umiejących czytać.

Takim w zarysie jest punkt pierwszy obrony naszej wobec zasadniczej tendencji zaboru. Jak widzimy, jest to może najlepiej dziś u nas obwarowana placówka, a jej doniosłość społeczna nigdzie już kwestji nie podlega.

Zwrócimy się więc do rozpatrzenia zasad, któremi kierować się należy w walce z pozostałemi tendencjami szkoły rosyjskiej.

We wszystkich szkołach przedmioty rosyjskie (język, geografja, historja), w gimnazjach zaś rosyjskie i klasyczne służą rządowi do zamurowywania niejako mózgu młodzieńczego przed wpływami życia. W normalnych warunkach szkoła elementarna i szkoła średnia — pierwsza niemal wyłącznie, druga w znacznej mierze — opierają się na przedmiotach takich, jak język, geografja, historja i literatura kraju rodzinnego. Nie potrzebujemy tu nawet szukać przykładów, gdyż wszędzie w Europie przedmioty te panują przez cały kurs szkolny, to samo w Rosji. U nas tylko znajomość kraju rodzinnego rząd wykreślił z planu zajęć szkolnych, podstawiając na to miejsce przedmioty wyżej wymienione, przeładowane olbrzymią ilością szczegółów. Jakkolwiek śmiesznem może się wydać pytanie, jaką wartość ma nauka o kraju rodzinnym, — odpowiemy jednak na nie. Przedewszystkiem jest ona najbliższą, najzrozumialszą odpowiedzią na instynkty i pytania, jakie umysł ludzki już w dzieciństwie zaczyna sobie stawiać. Nauka o kraju rodzinnym opowiada dziecku o jego naturalnem, najbliższem otoczeniu, wyjaśnia mu zjawiska życia codziennego, których sam sobie inaczej wytłumaczyć nie potrafi. Powiadają jednak, że taka elementarna historja, geografja i t. d. z konieczności, z metody samej musi na tym poziomie zawierać mnóstwo błędów, słowem, że nie może być uważaną za środek zaznajomienia się rzetelnego z krajem i narodem ojczystym. Istotnie tak jest w pewnej mierze. To, co utkwi na całe życie w pamięci ucznia z tej nauki elementarnej, są to tylko niektóre nazwy, daty, liczby, imiona, słowem — zatrzyma on jakby formalistyczną stronę przedmiotu. Wiadomości zaś szczegółowe o zaludnieniu, czy przemyśle krajowym, będą albo zbyt małe, albo wprost o tyle stan rzeczy zmieni się po latach kilku, że to, co pod tym względem zdobędzie w szkole, nie będzie przedstawiało realnej wartości. W społeczeństwie normalnie istniejącem zaradza mu koncentracja, rozszerzana nauka jednego przedmiotu, coraz bardziej ścisła i wyczerpująca w miarę starszych lat uczni, zaradza temu wreszcie odpowiednio informująca literatura.

U nas zaś niema tych ulepszeń, bo przedewszystkiem nie ma samej nauki elementarnej. Nauka jednak szkolna niema na celu w ogóle podawania jakiegoś skończonego wyrazu wiadomości w danym zakresie — nie – ona ma tylko cele metodyczne, t. j. wyrobienie umysłu dziecka w pewnym kierunku, oraz cel praktyczny — odpowiedzi na najbardziej elementarne pytania tegoż umysłu. Otóż jakkolwiek nauka o kraju rodzinnym w swym zakresie elementarnym nie może dać dziecku jakiejś skończonej wiedzy, to jednak jest niezmiernie ważnym środkiem w d r o ż e n i a u m y s ł u w pewien, że tak powiem, krajowy o b y w a t e l s k i s p o s ó b m y ś l e n i a. Nazwy bowiem, imiona własne i daty, które w innych naukach są często małoważnym balastem, — tu mają znaczenie pierwszorzędne: są to bowiem terminy tych stosunków, wśród których ma upływać życie przyszłego obywatela. Jest to zapewne jego strona zewnętrzna, lecz której od istoty tegoż życia oddzielić niepodobna. W ten to sposób umysł ludzki w zabawie i nauce przywyka do wiązania się ze swem otoczeniem. Początkowo związek ten jest więcej formalny, później życie podstawia coraz więcej treści w te nazwy i imiona — i w ten nieuchwytny sposób odbywa się w wychowaniu naszem wielka sprawa uobywatelnienia, unarodowienia się we własnem otoczeniu. Nie trzeba bowiem sądzić, że proces ten polega li tylko na zdobyciu pewnych wiadomości o swym kraju, lub pewnych szlachetnych dążeń w imię jego dobra: nie — jest to przedewszystkiem nałóg myśli wiązania się z rzeczywistością. Szkoła, rodzina i stosunki towarzyskie wytwarzają go wspólnie, a rośnie on wraz z młodym umysłem, przepajając go sobą na wskróś.

Społeczeństwo, w którem szkoła tej swojej roli obywatelskiej nie pełni, w którem rodzina traci również część znaczną swego wpływu, zaś stosunki towarzyskie obwarowane są kuratelą policyjną — społeczeństwo takie może mieć ludzi szlachetnych, działaczy energicznych, ale tracić będzie na zmyśle życiowym, na realności tych szlachetnych instynktów, na ich uobywatelnieniu. Społeczeństwo takie, podobnie jak nasze, wyda ze siebie ludzi, którzy obcymi będą wśród własnego otoczenia. A jest to klęska największa tam, gdzie, jak u nas, chodzi nie o doktryny w ich dziewiczej czystości, lecz o zmysł życiowy dla setek i tysięcy potrzebnych społeczeństwu działaczy.

Tak więc system jałowienia umysłu w szkole rosyjskiej (i w znacznej mierze w innych szkołach) szkodliwym jest społeczeństwu tem przedewszystkiem, że suchy balast bezużytecznych wiadomości podstawia na miejsce owego całokształtu wiadomości l o k a l n y c h, że zamiast zbliżać stopniowo umysł ludzki do spraw ż y c i o w y c h odrywa go od nich, czyni niezdolnym wprost do orjentowania się. Zapewne, że stosunki polityczne wogóle, policja obecna w rodzinie nawet i t. d. zwiększają wielokrotnie szkodliwość tej polityki szkolnej, faktem jest jednak, że podstawy zgubnego wpływu kładzie szkoła. Faktem jest również, że owa tendencja szkoły rosyjskiej stoi w sprzeczności nie już z naszemi dążeniami narodowemi, lecz wprost z podstawami i zasadami wszelkiej pedagogiki społecznej, obywatelskiej.

W ten sposób nawołując o obronę w tym kierunku, nie propagujemy jakiegoś wtargnięcia z polityką i konspiracją do pokoju dziecinnego, lecz stoimy ciągle na gruncie zadań samej peda-

gogiki, jako nauki, mającej na celu wychowanie dzieci w społeczeństwie i dla społeczeństwa.

Działalność, jaką ogół powinien rozwinąć dla zatamowania owego zgubnego wpływu szkoły, może być i będzie bardzo różnorodną, stosownie do tego, jak rozmaitymi są środki, praktykowane przez policję rosyjską, ucharakteryzowaną na pedagogów. My tu jednak zajmiemy się rozpatrzeniem jednego pytania — co mianowicie mamy przeciwstawić klasyczno-rosyjskim przedmiotom szkoły?

I znowu poszukajmy najpierw przykładu i oparcia w nowoczesnej wychowawczej działalności Zachodu.

* * *

Nauczanie elementarne na Zachodzie opierało się, jak wiemy, zawsze na znajomości ojczystych przedmiotów — w latach jednak ostatnich zrobiono w tym kierunku postępy ogromne.

Nie wspominając już nawet o powstaniu takich instytucji, jak muzea narodowe (kantonalne) i pedagogiczne we Francji i Niemczech — zwróćmy się do samej szkoły elementarnej.

Tu najpoważniejszą może zmianą było wprowadzenie do pokoju dziecinnego życia, rzeczywistości. Znamy i my ten ruch w postaci t. z. nauki poglądowej, nauki o rzeczach i t. p. Zasadą było w nim podstawiać na miejsce suchej scholastyki, opierającej wszelką wiedzę na pamięci — metodę wykładu żywego, opartego na uzmysłowieniu przedmiotu nauczania. W ten sposób ściany szkoły rozszerzyły się, jakby wpuszczając do wnętrza życie, w postaci niezliczonych okazów, przedmiotów rzeczywistych i t. p. Lecz zrobiono jeszcze więcej: oto mało powiedzieć, że życie weszło do szkoły — bo właściwie sama szkoła weszła w stosunki bliższe z życiem. Takie bowiem znaczenie ma rozumne przystosowanie wykładu szkolnego do pór roku, które zajęcia z przyrody np. nakazuje prowadzić latem i w otoczeniu samejże przyrody — zimę zaś uważa za czas studjów pamięciowych, ćwiczeń itp. Dalej, ponieważ szkoła niemoże wprowadzić do wnętrza swego gór i miast, fabryk i łanów zbożowych — więc zajęto się organizowaniem krajo- i przyrodoznawczych wycieczek. We Francji powstają liczne *bourses des voyages*, ułatwiające uczniom zwiedzanie miejscowości pouczających; w Niemczech wędrówki dziatwy szkolnej trwają przez całe wakacje; prócz tego szkoła sama urządza wycieczki, tłumaczy, zwiedza i t. p. — O szkole amerykańskiej słyszeliśmy od dawna, że zerwała z tradycją suchej scholastyki, obarczającej pamięć widmami tych wrażeń, które kształcą tylko wtedy, gdy są czerpane nie ze słów profesora, lecz z życia.

(C. d. n.)

Kosmologja i Socjologja.

Przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Hahn i Weinland mniemali nawet widzieć w meteorytach ślady form zwierzęcych, lecz Karol Vogt wykazał, że można je objaśnić, pozostając ściśle w granicach samej mineralogji. Właściwie — jak dotąd — możemy tylko rozważać pytanie: czy na planetach są warunki odpowiedne dla istnienia żywych i świadomych istot? Oczewiście porównywać możemy tylko z Ziemią, ponieważ o niej jednej wiemy, że ma takie istoty. Najwięcej zbliżone do istniejących na ziemi warunki przedstawiają dwie planety: Wenus i Mars. Wenus, której powierzchnia o jedną dziesiątą, a gęstość jest nieco tylko mniejsza od ziemskiej, której rok trwa o czterdzieście dni krócej od naszego, której doba*) równa się prawie ziemskiej, z powodu swego zbliżenia do słońca**), otrzymuje znacznie więcej energji słonecznej***). Cieplej więc i świetlej musi być na tej planecie, a częstsza zmiana pór roku, utrzymuje równomierniejszy podział temperatury, sprzyja warunkom życiowym. Wnosić nawet możnaby, że panują na niej straszne upały, lecz badanie widmowe przemawia za tem, że posiada ona atmosferę prawie dwa razy większą od ziemskiej, i że ta atmosfera jest przesycona parą wodną. Prawdopodobieństwo więc istnienia istot podobnych do człowieka na tej planecie jest wielkie, i te istoty mogą być nawet bardziej lekkie i więcej wrażliwe, biorąc w uwagę mniejszą siłę ciążenia i większą ilość otrzymywanej energji słonecznej.

Jeżeli prawdopodobieństwo istnienia człekopodobnych istot na Wenerze jest wielkie, to jest ono jeszcze większe ze względu na Marsa. Przytem planeta ta, łatwiejsza do obserwacji, jest też najlepiej poznana. Mars, prawie trzy razy co do swej powierzchni mniejszy od Ziemi, ma mniejszą też gęstość (0·7 gęstości Ziemi), a więc prawdopodobnie większe własne ciepło. Zato od słońca bierze zaledwie połowę tego, co nasza planeta. Doba marsowa jest tylko o pół godziny dłuższa od ziemskiej, ale rok prawie dwa razy większy od naszego, czego następstwem znacznie

*) Wprawdzie Schiaparelli wzbudził wątpliwość co do jej obrotu dobowego.

**) Wenus oddalona jest od słońca na 14 miljonów mil — Ziemia na 20 miljonów mil.

***) Jeżeli wyrysujemy na papierze w odpowiednich rozmiarach i odległościach słońce, Wenus i Ziemię, to przekonamy się, że na Wenerę spada nie wiele mniejsza liczba promieni, jak na Ziemię, ale zato promieni, zbliżonych do kierunku prostopadłego, znacznie więcej.

dłuższe trwanie jednej i tej samej pory roku, a więc zima musi być tam bardzo surowa, a nadto, wnosząc z pochylenia osi obrotu, strefy umiarkowane muszą być mniejsze, niż na Ziemi.

Co do rozkładu lądów, Mars ma wielkie podobieństwo do Ziemi, tak samo dokoła bieguna północnego skupiły się lądy, i tak samo wody oblewają biegun południowy. Atmosfera marsowa jest gęstsza od ziemskiej, chociaż zawiera te same gazy i pary, co nasze. Zimniej tam być musi i światło jest tam znacznie słabsze. Wnosić więc należy, że istoty tam żyjące, nie wzniosły się do tego szczebla samowiedzy, co istoty ziemskie*).

Co do innych planet, to prawdpodobieństwo, że istnieją tam wyższe żywe istoty, jest bardzo małe. Nadzwyczaj wysoka temperatura, przypuszczalnie o siedm razy większa od ziemskiej, przeszkadza rozwojowi życia organicznego na Merkurym*), chyba, że wysoka i nader gęsta jego atmosfera osłabia siłę promieni słonecznych. Znowu na Neptunie, otrzymującym tysiączną tylko część ciepła i światła, w stosunku do tego, co Ziemia otrzymuje, mogłyby istnieć żywe istoty tylko w takim wypadku, gdyby planeta posiadała własne znaczne ciepło. Saturn ma tak odmienne od ziemskich warunki, że przypuszczania wszelkie mogą być li tylko fantazyjne. Baer i Mädler zawyrokowali o księżycu, że jest on martwą pustynią. Istotnie przedstawia on warunki nader nieprzyjazne dla organizowania się materji: brak wody, mocno rozrzedzoną atmosferę; wielkie kontrasty w temperaturze z powodu czternaście razy dłuższych, niż na ziemi dni i nocy, sprowadzających w dzień takie gorąco, że może topić się ołów, a w nocy takie zimno, że temperatura spada poniżej 120° C.

Jaka siła utrzymuje całość systemu słonecznego, i jaka to siła wytworzyła ten system z bezkształtnej i bezgranicznie olbrzymiej mgławicy? Tajemnicza ta siła, przed którą umysł staje ubezwładniony, spoczywa w samej materji i ujawnia się w przyciąganiu i odpychaniu. Przyciąganie sprowadza zgęszczenie materji, a zgęszczenie onej wzbudza ciepło, które rozrywa i oddala od siebie jej cząstki. Te dwie siły, czyli raczej dwie postaci tej samej siły, działają w całym wszechświecie, jak na to wskazuje odkrycie satelity Syrjusza.

Jak we wszechświecie zbliżanie się cząstek materji staje się początkiem wszelkich dalszych przeistoczeń, tak w świecie ludzkim zbliżanie się, kojarzenie ludzi jest zawiązkiem wszystkich form społecznych. Przyciąganie i odpychanie, siła dośrodkowa i odśrodkowa, siła spadu i rzutu snują się, jak białe nici, wśród poplątanej rozmaitości wszech zjawisk. Na Ziemi są to: siła ziemska, ciążenie ku ziemi, i siła słoneczna. W życiu społecznem jest to siła ustalająca, zaprowadzająca porządek, i jest to siła popychająca, postępowa.

Dok. n.

*) Kamil Flammarion w poetycznej swojej fantazji: »Uranie« (Paris 1889) przypuszcza na Marsie lepsze dla istnienia świadomych istot warunki, aniżeli na Wenerze. Bierze w rachubę mniejsze ciążenie, ale w dziwny sposób zapomina o najważniejszym warunku: energji słonecznej.

**) Podług doświadczeń Białobłockiego, stała temperatura, przy której korzenie roślin mogą się jeszcze rozwijać, nie powinna przewyższać 40° C.

Przegląd pism.

»Kwartalnik historyczny». Organ Towarzystwa historycznego. Rocznik VIII. — Zeszyt III. — Lwów 1894.

Istnieje jeden jedyny zabytek w piśmiennictwie, który stanowi nieocenione źródło do poznania stosunków społecznych w Polsce w XII. i XIII. wieku. Jest nim »*Liber fundationis claustri s. Mariae virginis in Heinrichow*« wydane przez Stenzla jeszcze w r. 1654. Książka ta powstała w końcu w. XIII. O wypadkach historycznych, o zajściach, które na los całego kraju wpływ wywarły, nie ma w niej ani słowa. Uwzględnia ona wyłącznie sprawy klasztoru Cystersów w Henrychowie nad Oławą na Szląsku, w którym powstała. W szczególności zajmuje się kwestją majątkową klasztoru. O każdej wiosce, o każdym łanie pola lub lasu rozpisuje się jak najdokładniej. Wszystkie zatargi o własność klasztorną, reklamacje procesu, odprzedaże zostały tu szeroko opisane i poparte dokumentami. Ważne to źródło dotąd nie było przez nikogo wyzyskane. Otóż dr. Antoni Małecki postanowił to uczynić i w artykule »Ludność wolna w księdze Henrykowskiej«, umieszczonym na czele omawianego zeszytu, dochodzi do wniosku, że wieśniacy wolnego stanu, o których mowa w tej książce, nie stanowili klasy pod względem zasad posiadania tak ograniczonej, iżby nie mogła swobodnie rozporządzać swoją osobą, iżby była przykuta do gleby, słowem oddzielona taką przepaścią od klas, tworzących wyższą warstwę narodu, jak to sobie dotąd wyobrażano.

A. Lewicki zajmuje się kwestją ustalenia daty, kiedy Witold został wielkim księciem Litwy. Kwestja ta jest nadzwyczaj ważna, chociażby z tego względu, że wiąże się z nią kwestja prawno politycznego stusunku między Litwą a Koroną w początkach unji litewsko-polskiej. Dr. Lewicki dowodzi, że Witold nie został wielkim księciem na skutek ugody ostrowskiej r. 1392., ale stał się nim dopiero 1398.

W dziale »Miscellaneów« znajdujemy nieznaną relację Jana Cyrusa, opata wrocławskiego, rezydenta austrjackiego na dworze polskim, o śmierci Zygmunta Augusta. Dalej idą notatki do biografji A. Morsztyna, podane przez E. Porębowicza. Następnie znajdujemy przyczynek do dziejów gry w karty w Polsce.

Po obfitym, jak zwykle, dziale sprawozdań i recenzji idzie szczegółowe sprawozdanie z drugiego zjazdu historyków niemieckich w Lipsku.

Zeszyt zamyka przegląd czasopism, sprawozdanie z posiedzeń Towarzystwa i polemika. *L. Wasilewski.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.